

Bajka o pasikoniku, mrówkach i koronawirusie

23 marca 2020

Gdy byłem dzieckiem wstrząsnęła mną bajka o pasikoniku. Sympatyczny lekkoduch przebalował wiosnę, lato i jesień, pokpiwając z ciężko harujących mrówek. Zimą zamarzł, gdy mrówki zatrzasnęły mu przed nosem drzwi do mrowiska.



Ostatnie dekady były dobrym czasem dla pasikoników. Globalizacja otwierała granice, pozwalając wolnym duchom wyrwać się z zatęchłych zaścianków i swobodnie łazikować po świecie, nie wiążąc się z niczym i nikim na stałe. Bogactwo rosło w takim tempie, że bystra jednostka mogła nie przepracowując się zapewnić sobie znośny byt. Świat przypominał obficie zastawiony szwedzki stół, zachęcający do beztrudnej konsumpcji przyjemnych czy ekscytujących wrażeń. W tych warunkach wyroiła się liczna rzesza współczesnych nomadów: od menadżerów i specjalistów ponadnarodowych korporacji przez żyjących z pracy dorywczej wykształconych prekariuszy po sezonowych najemnych pracowników fizycznych. Było miło.

Owszem, bywały też momenty niesympatyczne – terroryzm, krach 2008 roku – ale można było przejść nad nimi do porządku dziennego. Aż do teraz. Pandemia koronawirusa wyrwała społeczeństwa Zachodu z błogiej iluzji.

Globalni wędrowcy zostali z dnia na dzień zatrzymani – już nie mogą wedle swej woli przemieszczać się z kraju do kraju ani nawet z miasta do miasta. Muszą podporządkować się surowym lokalnym przepisom sanitarnym i porządkowym. Nieraz tracą źródła utrzymania, bo ich królestwem była sfera usług. Zaczynają dostrzegać wagę ubezpieczenia i koszt opieki

zdrowotnej. Jeśli wcześniej nie doceniali pracy na etacie i posiadania własnego mieszkania – teraz dostrzegają ich zalety. To samo dotyczy stałych związków: przypadkowe znajomości okazują się nieproporcjonalnie ryzykowne. Życie bez zobowiązań okazało się życiem bez zabezpieczeń.

To niewiarygodne, jak krucha okazała się iluzja globalizacji, liberalnej demokracji, wolnego rynku! Nikogo nie dziwi, że można człowiekowi zakazać podróżowania czy nawet wychodzenia z domu, że można faktycznie zawiesić prawa obywatelskie, zamknąć granice, konfiskować towary. Więcej – społeczeństwo żąda, by odebrano mu prawo do głosowania – o ile miałoby się to wiązać z ryzykiem. Wbrew buńczucznym hasłom bezpieczeństwo okazuje się ważniejsze od wolności. Państwo natomiast, na co dzień traktowane z lekceważeniem albo nawet wrogością, jest tą siłą, która może nam zapewnić opiekę, powrót do domu z zagranicy, wsparcie dla firmy.

Oczywiście wszyscy mamy nadzieję, że ten katastroficzny horror oglądany na ekranach telewizorów wreszcie się skończy, że wybudzimy się z tego koszmaru i wszystko wróci do normy. Na jak długo?

Koronawirus to nie jest jeszcze najgorsze, co może nam się przydarzyć. Śmiertelność jest tu stosunkowo niska. Wyobraźmy jednak sobie zarazę łączącą łatwość rozprzestrzeniania koronawirusa i śmiertelność Eboli. Pojawienie się takiego zagrożenia to tylko kwestia czasu. To też zawdzięczamy globalizacji. Pandemia nieprzypadkowo eksplodowała właśnie teraz, w epoce tanich linii lotniczych i lawinowo narastającej migracji. Dawniej epidemie miały na ogół zasięg lokalny. Dziś swoboda przemieszczania się ludzi ułatwia przenikanie egzotycznych chorób, na które nie jesteśmy uodpornieni. Przypomnijmy sobie los amerykańskich Indian, których większość zmarła na skutek chorób przywleczonych przez Europejczyków. Sprzyja temu też globalne ocieplenie i – paradoksalnie – postęp naukowy: bakterie uodparniają się na antybiotyki.

Epidemie to także dezorganizacja gospodarki. Epidemie to stan wyjątkowy. Epidemie to koniec świata, jaki znamy. Tak więc, kochane pasikoniki, pora spojrzeć prawdzie w oczy: nadchodzi zima.

Autorstwo: Janusz Kapusnik

Źródło: WolneMedia.net